

5. NIEDZIELA WIELKANOCNA – 9 V 2004

Jedyne kryterium bycia chrześcijaninem

Jakie to kryterium? Odpowiedź na to pytanie daje nam Chrystus w dzisiejszej Ewangelii w słowach: „Daję wam przykazanie nowe, abyście się wzajemnie miłowali tak, jak Ja was umiłowałem; żebyście i wy tak się miłowali wzajemnie. Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali”

Jezus w ostatni wieczór, jaki spędzał na ziemi, czynił ostatnie pouczenia dla uczniów, jeszcze raz tłumaczył, co jest najważniejsze, jakby się bał, że zapomną albo nie zrozumieją poprawnie, albo przeinaczą: „Wytrwajcie w miłości mojej” Wyjaśnia, że będą Go odtąd spotykać w drugim człowieku: „Daję wam nowe przykazanie, abyście się wzajemnie miłowali...”. A zatem stopień naszej miłości do Boga należy mierzyć stopniem miłości bliźniego. Nasza postawa wobec drugiego człowieka jest precyzyjnym termometrem, który wskazuje poziom naszej miłości do Chrystusa. A mierzyć tę miłość Boga miłością bliźniego jest sprawą bardzo trudną. Tę miłość do Boga wolimy zamienić na większą ilość odmówionych litanii, różańców, przyjętych Komunii św., złożonych ofiar pieniężnych i tym podobnych aktów zewnętrznych naszej pobożności. Są to rzeczy konieczne w naszym życiu religijnym, ważne i potrzebne, ale niewystarczające, bo nie ukazujące stopnia naszej miłości do Boga. Jedynym kryterium jest tutaj miłość. W dzisiejszej Ewangelii Chrystus wyraźnie poucza: „Daję wam przykazanie nowe [...] jeśli będziecie się wzajemnie miłowali”. A zatem ostatecznym kryterium przynależności do Chrystusa jest to, czy umiałem okazać miłość drugiemu człowiekowi. Dlatego uśmiech spowodowany na twarzy drugiego człowieka – to uśmiech na twarzy Chrystusa. Każda łza wyciśnięta z oczy bliźniego – to łza wyciśnięta z oczu Chrystusa. „Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi...”. Nie odmawianie długich modlitw, nie akty strzeliste i inne praktyki pobożne, lecz miłość do drugiego człowieka stanowią legitymację i dowód tożsamości ucznia Chrystusa, a w dalszej perspektywie bilet wstępu do nieba. Popatrzmy teraz na praktykę życia codziennego. Obserwator bez trudu zauważy, że chrześcijanie, zamiast się wzajemnie miłować i być znakiem rozpoznawczym Chrystusa, coraz częściej siebie nie lubią, nienawidzą, knują podstępny, zazdroszczą, są skąpi i przebiegli, pełni miłości własnej, co kiedyś nazywano i dziś także, nazywa się egoizmem. Wiem, nie powiem, bo to nowa szansa tylko dla mnie – mam, nie podzielę się, a cóż dopiero oddam – mogę, nie muszę, niech inni sobie też jakoś radzą, bo ja także zdobywałem wszystko w wielkim trudzie i nikt mi nie pomógł. Dziś pięknie nazywa się to zaradnością życiową, przedsiębiorczością, kiedyś było traktowane jako skąpstwo i pasożytnictwo. Rozstrzyganie wszystkich spraw gwałtem i złością, swoją elokwencją językową i pismem urzędowym, ludzkim mniemaniem, że tylko ja mam rację, nikt inny. Takim postępowaniem zagradzamy sobie drogę do nieba. Bo czyniąc źle, możemy zdobyć majątek, wygodnie się urządzić tutaj na ziemi, ale nie tam w niebie. Niestety, bez miłości nie zbawimy się. Chrystus wyraźnie uczy, że droga do nieba prowadzi tylko i wyłącznie przez serce drugiego człowieka. A więc miłość przejawiająca się na wszelki możliwy sposób jest kryterium rozstrzygającym tu na ziemi – moje bycie chrześcijaninem, a tam w niebie – będę czy nie będę.

Jeżeli miłość Chrystusa ma być miarą naszego miłowania drugiego człowieka, to przez chwilę wpatrzmy się w nią. Jezus jest wrażliwy na ludzką nędzę, nieszczęścia i cierpienia. O sobie zapomina. Zapomina o głodzie, zmęczeniu, upale. Swojej Boskiej mocy nie chce wykorzystywać dla siebie, a posługuje się nią, by pocieszać smutnych, ocierać łzy ludzkie, leczyć chorych. Ludzie rozpoznali tę Jego dobroć bardzo szybko i dlatego cisnęli się do Niego cierpiący na różne dolegliwości. A czy do mnie cisną się ludzie, chcą jeszcze do mnie przyjść, czy chcą nieśmiało poprosić o pomoc? Po pracy spieszę do domu, szczerlnie się zamykam, wyłączam domofon, telefon, dzwonek, bo mi się należy odpoczynek i święty spokój od innych ludzi. Boję się drugiego człowieka, bo zakłóca mój porządek dnia,

a co więcej, może o coś poprosić, wbrew moim planom. Dziś każdy człowiek to intruz pragnący wtargnąć w moje życie, a dla mnie najlepszym towarzyszem życia okazuje się telewizor. On jeden za wszystkich ludzi wystarcza. A Chrystus nie zamykał się, nie uciekał od ludzi, wręcz przygarniał ich do siebie. Jezus spieszy z pomocą nawet w najzwyklejszych, codziennych potrzebach. Głodną rzeszę zasłuchaną na pustkowiu karmi chlebem i rybami. Gdy obudził ze snu śmierci córeczkę Jaira, kazał podać jej, jeść, by nie zapomniano z wielkiej radości. Bardziej jednak niż na nędzę fizyczną reaguje na moralną nędzę człowieka, bo On najlepiej wiedział, jakim nieszczęściem jest grzech. Dlatego uzdrowienie fizyczne poprzedza uzdrowienie ducha. I stąd ci, którzy zostali uleczeni, odchodzili z ogromną radością, bo byli uleczeni w pełni.

Całe życie Chrystusa to życie dla innych. Pozwala się eksploatować aż do ostatnich granic. Dopuszcza do siebie gromadkę dzieci wraz z matkami nawet wtedy, gdy Apostołowie uznali, że jest już nadmiernie zmęczony. Ostatecznie swoje życie oddał Chrystus innym poprzez swą mękę i śmierć na krzyżu. Nie inaczej powinno wyglądać nasze życie. I my – jak Chrystus – musimy mieć szeroko otwarte oczy i wrażliwe serce na człowieka, a wtedy oderwiemy się od swoich spraw i zobaczymy drugiego, wtedy pochylimy się nad nim, zainteresujemy się nim, zajmiemy. Wtedy odkryjemy w nim jakieś dobro, a zarazem spostrzeżemy jego kłopoty, zmagania się. Jednak jakże rzadko spotyka się takich ludzi. Najczęściej spotyka się ludzi oziębłych, obojętnych, bezmyślnych albo nastawionych agresywnie. Rzadko, coraz rzadziej spotykamy twarz przyjaźnie do drugich uśmiechniętą.

A przecież człowiek w potrzebie jest dla nas Bożym wołaniem i dlatego w miarę naszych sił i możliwości mamy obowiązek spieszyć z pomocą, a nastawiać się na zbieranie dobrych uczynków. Ileż jest w takim podejściu do sprawy miłości własnej, zarozumiałości, poczucia wyższości wobec człowieka, który jest przedmiotem dobrego czynu, że niewiele pozostaje dobroci. Oczywiście, jeśli tylko zechcę, potrafię sam pomóc potrzebującemu, choremu, kalece, matce obciążonej licznymi dziećmi. Jest jednak inaczej, pokazują swoją bezradność.

Podobnie trzeba umieć odkryć duchowe biedy ludzkie. Tyle ich na świecie. O wiele więcej niż nędzy materialnej. Tyle smutnym można zanieść radość. Nieraz tak łatwo: przez odwiedziny, wysyłając list, przynosząc drobiazg, pamiętając o imieninach. Tyle samotnych czeka, byśmy im poświęcili trochę czasu i serca. Tyle rozgoryczonych, cierpiących, skłóconych wewnątrz, zbuntowanych pragnie się przed nami wypowiedzieć. Umiejmy ich wysłuchać.

Chrystus dał nam przykazanie nowe, abyśmy się wzajemnie miłowali tak, jak On nas umiłował. Miłość ta odnawia nas, sprawiając, że stajemy się nowymi ludźmi, dziedzicami Nowego Testamentu, śpiewającymi pieśń nową... Miłość ta odnawia ludzi i gromadzi rodzaj ludzki rozproszony po całej ziemi, aby uczynić z niego lud nowy, ciało nowej Oblubienicy Jednorodzonego Syna Bożego.

Eucharystia dziś sprawowana – po tym rozważaniu o przykazaniu nowym – nabiera szczególnej mocy. Powinna nas uwrażliwić na drugiego człowieka i dać nam zapał i wyobraźnię do wyrażania miłości wobec bliźniego na wszelki możliwy sposób, bo tylko w ten sposób mogą być uczniemi Chrystusa. Amen.